

Sukces „marszu przez instytucje” [FELIETON]

„Notatki z więzienia” Antonio Gramsciego i „Zasady dla radykałów” Saula Alinsky’ego to książki, które wciąż są cenione i czytane. Wciąż uczą współczesną młodzież, w jaki sposób walczyć o zwycięstwo lewicy: już nie przy pomocy krwawych rewolucji, lecz przez „marsz przez instytucje” – pisze Ewa Thompson w kolejnym felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Lewicowe ideologie wieku dziewiętnastego doprowadziły do wielkich zbrodni w wieku dwudziestym. Pograżyły w nędzy tych, którzy przeżyli. Sformowały społeczeństwa przesiąknięte strachem. *Nota bene* Hitler nie był prawicowym ekstremistą – przewodził partii narodowo-socjalistycznej. Socjalizm zabija.

A mimo to, „Notatki z więzienia” („Quaderni del carcere”) Antonio Gramsciego i „Zasady dla radykałów” („Rules for Radicals”) Saula Alinsky’ego to książki, które wciąż są cenione i czytane. Wciąż uczą współczesną młodzież, w jaki sposób walczyć o zwycięstwo lewicy: już nie przy pomocy krwawych rewolucji, lecz przez „marsz przez instytucje” oraz bezczelne rozbijanie cywilizowanego społeczeństwa na każdym poziomie: jednostek, rodzin, warstw społecznych, narodowości. Przyjemność rebelii przeważa nad zdrowym rozsądkiem. A społeczeństwa pozostają bierne; reagują jedynie jednostki.

Więc gdy zobaczyłam tytuł odwrotny, „Reguły dla konserwatystów” („Rules for Conservatives”) Michaela Mastera, natychmiast sobie tę książkę kupiłam. I co? I rozczarowanie. Książeczka owszem pełna dobrych intencji, ale składająca się głównie z banałów typu „trzeba być aktywnym” oraz „jak być konserwatystą”? Jest parę słusznych uwag, np. że trzeba demaskować fałszywe sylogizmy, którymi tak często posługuje się lewica. Ale w praktyce politycznej często nie chodzi o to, aby światu pokazać, że sylogizm jest fałszywy, bo na to nie ma czasu – dyskusja toczy się warko i chodzi w niej nie o wykazanie, że przeciwnik się myli, ale o zwycięstwo. Dobrze to wiedział Schopenhauer, który napisał książeczkę o tym, jak należy dyskutować, aby wygrać: „Erystyka” („Eristische Dialektik: Die Kunst, Recht zu behalten”). Umieściłabym tę książeczkę obok „Księcia” Machiavellego jako podręcznik wygrywania, bo zawiera listę wszystkich chyba chwytów w dyskusji, a jej zinternalizowanie zapewnia wygraną w każdej debacie. Alinsky niczego nowego nie wymyślił, zapożyczył się po prostu u Schopenhauera (*mutatis mutandis* oczywiście).

*Studenci z czytania
Benjamina i Adorno wynieśli
nie tylko poczucie wyższości
w stosunku do tradycyjnej
humanistyki, ale i niechęć do
filozofowania opartego o
trwałe wartości*

Wiele lat temu, gdy
byłam początkującą
asystentką,
przyjęłam posadę na
dość
konserwatywnym
uniwersytecie, na
którym anglistyka
była zapełniona
tradycyjnymi

Południowcami. Czytali oni z nabożeństwem utwory Faulknera, Eliota i osiemnastowiecznych kalwinistów; jeden z nich nawet chełpił się, że

uczył się u tzw. Nowych Krytyków na uniwersytecie Vanderbilt (a to właśnie o Nowych Krytykach pisałam w mojej doktorskiej dysertacji). Wkrótce po zainstalowaniu się, postanowiłam dołączyć do grupy młodych asystentów, która czytała i komentowała nowinki w humanistyce. Jeden z moich kolegów, nazwijmy go Alanem, zaproponował czytanie książek Waltera Benjamina i innych autorów szkoły frankfurckiej. Większość z nas o Benjaminie nigdy nie słyszała. Byliśmy grupą naiwniaków i nie zadawaliśmy pytań. Dopiero znacznie później, m. in. ze wspaniałej książki Leszka Kołakowskiego „Główne nurty marksizmu” oraz z esejów Williama F. Buckleya dowiedziałam się, o co tu chodziło. Więc zaczęliśmy czytać. Niewielu z nas rozumiało te depresyjne teksty, ale zaczęliśmy je polecać studentom, którzy wynieśli z czytania Benjamina i Adorno nie tylko poczucie wyższości w stosunku do tradycyjnej humanistyki oraz w stosunku do wyimaginowanej „osobowości autorytarnej”, ale i niechęć do filozofowania opartego o trwałe wartości.

Nadszedł czas wymiany dziekana katedr humanistyki. Wtedy jeszcze my młodzi profesorowie mieliśmy w tej sprawie coś do powiedzenia: to były wybory raczej niż powoływanie przez rektora komitetu, który decydował, kto ma to stanowisko objąć (tak jest obecnie na znanych mi amerykańskich uniwersytetach).

Wkrótce Alan pojawił się u mnie w gabinecie i zaczął wychwalać jednego ze swoich wydziałowych kolegów. Nazwijmy go Martinem. *Nota bene* to konserwatywni „Południowcy” zatrudnili kiedyś i Alana, i Martina. Alan twierdził, że Martin to wspaniały naukowiec i dobry kolega, i że zawsze stał po stronie tych najbardziej wyzyskiwanych w życiu uniwersyteckim, tzn. asystentów i instruktorów. Głosuj na niego! Potem dowiedziałam się, że Alan odwiedził nieomal każdy profesorski

gabinet i wygłosił tam swoją mini-przemowę. Przedtem mało kto o tym Martinie wiedział – był cichy i niewidoczny. Większość młodych wykładowców była zajęta pisaniem pierwszych książek i przygotowaniem do obfitego pensum. Niezbyt ich interesowało kto będzie dziekanem. Więc radzi byli, że ktoś wiarygodny wystąpił z sugestią, na kogo mają głosować.

Gdy Martin znalazł się na stanowisku, które mu dawało wpływy na formowanie uniwersyteckiej polityki – pokazał, kim jest: wielbicielem szkoły frankfurckiej. Pozwolił dożyć do emerytury Południowcom, którzy prawili o honorze i obowiązku, a czasem nawet o Bogu – ale z biegiem czasu ta grupa stawała się coraz bardziej marginesowa, izolowana, patrzono na nich jak na mumie z poprzedniej epoki i pytano, kiedy odejdą na emeryturę. Zaś nowy narybek składał się z osób, którym poglądy Martina nie były obce. A wszystko się działo ot tak od niechcienia, bez żadnych konspiracji, z otwartą przyłbicą.

A co się stało z Alanem? Pozostał w cieniu. Nie ubiegał się o żadne stanowisko. Był ideologiem bez osobistych ambicji. Pozostał przeciętnym profesorem. Martin go nie nagroził. Gdy przywołuję go w pamięci po wielu latach, pojawia się tam wraz z dwoma innymi osobami, które żyły w innej epoce i o których gdzieś czytałam. Mowa o dwóch emigrantkach z Rosji carskiej, zatrudnionych jako szwaczki w Nowym Jorku przed pierwszą wojną światową. Były to dwie siostry całkowicie oddane idei marksistowskiej rewolucji w Rosji. Pracowały na dwa etaty: jeden szedł na utrzymanie, a drugi był w całości przeznaczony na wsparcie partii bolszewików w Rosji.

A w międzyczasie konserwatywni intelektualiści pisali swoje tomy, nie interesując się tym, kto zostawał dziekanem na miejscowej uczelni, jak zmieniała się lista lektur na studiach humanistycznych, jakie książki polecali kawiarniani znawcy.

I tak oto doszliśmy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego lewicy udał się „marsz przez instytucje”.

Ewa Thompson
Rice University

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”